№ 38. Warszawa, dnia 7 (19) Września 1885 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak **Tygodnika Mód** jak i **Przyjaciela Dzieci**, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 8, w ciągu roku wydanych zostanie 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

KOBIETY HISTORYCZNE.

PRZEZ

Ł. S. W.

Karolina Brunswicka i Marya Anna Fitzherbert.

Quod licet Jovi, non licet bovi, powiada przysłowie łacińskie, które znaczy, że królowi bożków pogańskich Jowiszowi, znanemu ze swej zalotności, uchodzi daleko więcej niż komu innemu. Powstała zaś ta gadka z bajeczki, która głosi, że znudzony gderliwością małżonki panświata, odbywał niekiedy wycieczki bardzo podejrzane, a żeby ujść oka podejrzliwej i zazdrosnej Junony, przybierał na siebie różne postacie.

W czasach późniejszych, gdy już w Jowiszów i Junony ludzie wierzyć przestali, powtarzano sobie niejednokrotnie owo przysłowie w tych razach gdy ktoś możny i potężny pozwalał sobie broić bezkarnie, dopuszczając się sprawek, za które zwyczajni śmiertelnicy ponieśliby karę dotkliwą.

Jest jeszcze drugi aforyzm łaciński: *quis judicabit ipsos judices?* to jest *kto będzie sądził samych sędziów?* Obydwa te przysłowia mimowoli nasuwają się nam na myśl treści do niniejszego artykułu.

Wiadomą jest rzeczą, że monarchowie Wielkiej Brytanii żyją bardzo długo, dłużej od wszystkich innych królów europejskich. Ztąd następcy tronu angielskiego, nie mogąc przez długie lata doczekać się korony, która spada na nich dopiero w latach dojrzałych lub w starości, nie mają innego zajęcia jak zabawy i uciechy. Wesoło też spędzają młodość ci książęta, roztaczając w koło blask i przepych, hołdując modzie i rozkoszom światowym i co za tem idzie, wpadając w olbrzymie długi, gdyż uposażenie urzędowe książąt krwi angielskich jest stosunkowo szczupłe. Tak też, a nieinaczej poczynał sobie książę Walii, najstarszy syn króla Jerzego III; za to w świecie modnym zyskał sobie przynajmniej miano „pierwszego gentlemana Europy”.

Na jednym z balów arystokracyi londyńskiej w roku 1785, książę Walii, wówczas zaledwie dwu-

dziestotrzyletni młodzieniec, ale już dobrze zużyty, poznał piękną kobietę, dla której odrazu poczuł namiętną miłość. Była to piękna wprawdzie jeszcze, świeża, urocza, ale niepierwszej już młodości, starsza od księcia, bo dwudziestodziewięcioletnia, a do tego wdowa po dwóch mężach.

Pochodziła ze starożytnego rodu szlacheckiego Smythe, nosiła imiona Marya Anna i nazwisko drugiego męża Fitzherbert, który pozostawił jej około 100,000 rubli dochodu. Słynęła ze skromności i cnotliwych obyczajów, co w zepsutych kołach arystokracyi ówczesnej nie było zbyt powszednim zjawiskiem, a co zdolne było tylko spotęgować namiętną miłość księcia.

Oświadczył się jej niebawem, ale piękna wdowa zbyła go chłodno. Nasyłał przyjaciół i powierników, próbował skusić kosztownemi upominkami, wszystko daremnie.

Marya Anna odprawiła wyniośle wysłańców, a prezentów nie przyjęła. Roznamiętniony, a mało snać do takiego oporu nawykły książę, uciekł się do ostatniego środka, przyrzekł ożenić się z uroczą wdową. Marya Anna była katoliczką i gdyby Jerzy ją poślubił, musiałby dla niej poświęcić koronę, gdyż wyraźnie prawo usuwało od tronu księcia, któryby wziął za żonę katoliczkę. Pani Fitzherbert może o tem nie wiedziała, a jednak prośbę następcy tronu angielskiego o swoją rękę... odrzuciła.

Książę Walii nie dał jednak za wygraną. Pewnego dnia przysłał do niej jednego ze swych przyjaciół, z uwiadomieniem, że jest w rozpaczy, że nie mogąc zmiękczyć jej serca, postanowił umrzeć i w tym celu zadał sobie ciężką ranę, ale przed śmiercią pragnąłby jeszcze zobaczyć uwielbianą istotę: błaga ją więc, aby zechciała go odwiedzić na łożu śmiertelnem. Marya Anna dała się ująć tym fortelem i przez dobroć serca poszła do pałacu księcia, w towarzystwie Maryi Devonshire. Jerzy leżał istotnie w łóżku, a na pościeli widoczne były ślady krwi. Ujrzawszy panią Fitzherbert, jął się rozwodzić z czułemi wynurzeniami, zaklinał się, że bez niej żyć nie chce i nie będzie. Marya Anna, która wcale księcia nie kochała, tylko litowała się nad nim, dała się omamić i oto, sama nie wiedziała jak, na jej palcu znalazł się pierścień zaręczynowy księcia, włożony jej przez księżnę Devonshire.

Nazajutrz jednak piękna wdówka pożałowała danego słowa, przeczuwając może nieszczęścia, które ją czekały. Postanowiła więc uciekać i wyjechała natychmiast do Holandyi, a ztamtąd do Francyi. Wszelako ks. Walii nie dał jej spokoju: odkrył miejsce jej pobytu i wciąż posyłał kuryerów, ponawiając oświadczenia gorącej miłości i pragnienie jak najprędszego małżeństwa, aż w końcu Marya Anna, może na chwilę obałamucona świetną perspektywą korony, zgodziła się wrócić do Londynu. Wkrótce po powrocie, nastąpił istotnie potajemny ślub jej z ks. Walii, w obecności brata i stryja pani młodej. Książę Jerzy dopiął nareszcie swego celu, nie cofnąwszy się nawet przed nędzną farsą, gdyż ów zamach samobójczy i mniemana rana były udane.

Niebawem okazało się, jak mało „pierwszy gentleman Europy" robił sobie ze swego małżeństwa. Gdy bowiem wieści o niem rozeszły się po stolicy i doszły do parlamentu, jeden z członków tego ostatniego, Jan Fox osobiście udał się do księcia, dla powzięcia pewnej w przedmiocie tych pogłosek wiadomości. Książę zaprzeczył wszystkiemu i oto nazajutrz Fox oświadczył w parlamencie, że sam następca tronu upoważnił go do odparcia wszelkich wymysłów i potwarzy co do jego mniemanego małżeństwa, które nigdy miejsca nie miało.

Marya Anna, dowiedziawszy się o tem publicznem zaprzeczeniu, zmartwiła się okropnie i żądała wyjaśnień od księcia. Ten jej odpowiedział, że musi do czasu ukrywać się ze swem małżeństwem z powodu, że zawarł je bez woli i wiedzy ojca, ale skoro tylko Jerzy III umrze lub złoży rządy, małżeństwo będzie publicznie ogłoszone i Marya Anna wejdzie w używanie wszelkich praw sobie przynależnych. Oszukiwał ją w tem świadomie, gdyż samo pochodzenie jej nie z domu królewskiego usuwało ją od tronu, a nawet i małżeństwo było niemożebne, gdyż potrzebne było do niego koniecznie zezwolenie króla. Wiedział o tem książę Walii i dlatego to nie obawiał się usunięcia siebie samego od tronu za małżeństwo z katoliczką, gdyż to usunięcie było karą za małżeństwo zkądinąd ważne, jego zaś ślub był nieważny.

Niepodobna jednak zaprzeczyć, że książę kochał po swojemu oszukaną swą małżonkę, a nawet przez czas jakiś ulegał jej dobroczynnemu wpływowi i zaczął prowadzić życie nieco porządniejsze.

Niedługo to jednak trwało i wkrótce kawalerskie wybryki pierwszego gentlemana Europy poszły dawnym torem. Następca tronu angielskiego tonął po uszy w długach, które już w roku 1786 wynosiły pokaźną sumę pół miliona funtów sterlingów (5 milionów rubli), a chociaż parlament dał mu, w formie upokarzającej jałmużny, 160 tysięcy funtów sterlingów na zapłacenie najpilniejszych należności, niewiele to znaczyło, a długi wciąż rosły, król zaś nie chciał ani słyszeć o ich spłaceniu. Przyszło nakoniec do tego, że książę Walii pomyślał o tym środku wybrnięcia z długów, do którego uciekają się zwyczajni śmiertelnicy, a mianowicie... o posażnej żonie!

Nie troszcząc się więc zgoła o Maryą Annę, rozpoczął starania o rękę swej kuzynki, Karoliny, księżniczki brunświckiej i zaślubił ją uroczyście w Kwietniu 1795 r.

Fakt dwużeństwa został więc spełniony i następca tronu angielskiego miał odtąd dwie małżonki.

Biedna Karolina nie była szczęśliwszą od Maryi Anny, a rozgłos jej zatargów małżeńskich miał wkrótce napełnić Anglią i Europę.

Marya Anna przyjęła z rezygnacyą cios, który jej zadał wiarołomny małżonek. Opuściwszy księcia zamieszkała w swoim pałacu i otwarła swe salony, szukając zapomnienia i rozrywki w towarzystwie. Otaczano ją powszechnym szacunkiem, na jej pokojach zbierało się wyborowe towarzystwo, zaglądał tam nieraz nawet sam król Jerzy.

Karolina brunświcka była obdarzoną od natury najpiękniejszemi przymiotami serca i umysłu. Nie zyskała jednak przywiązania małżonka, który już po kilku miesiącach pożycia, zaczął jej unikać.

W rok po ślubie urodziła się księstwu córeczka, nazwana, jak matka, Karoliną (Charlotte). Kraj cały radośnie powitał to pomnożenie się domu królewskiego, ale najmniej cieszył się sam ojciec. Wkrótce też oświadczył Karolinie, że nie czuje do niej żadnego przywiązania i że ona jest dla niego tylko ciężarem. Przypomniał sobie zarazem o Maryi Annie i zapragnął do niej powrócić, zapewniając, że ją tylko zawsze uważał za swą jedyną i prawą małżonkę.

Marya Anna nie wiedziała sama, jak ma postąpić: dla rozstrzygnięcia więc wątpliwości i skrupułów sumienia, jako dobra katoliczka, wysłała swego spowiednika do Rzymu, prosząc Papieża o radę i wskazówkę. Pius VI orzekł, że jako zaślubiona kościelnie z księciem, winna mu posłuszeństwo. Wtedy Marya Anna zgodziła się na nalegania męża i zamieszkała z nim powtórnie. Stolica Anglii ujrzała dziwne widowisko: następca tronu publicznie żył ze swą pierwszą małżonką, a druga, uznana za prawą, mieszkała samotnie opuszczona.

Owo powtórne pożycie dziwnego stadła trwało całe lat ośm, a było stosunkowo szczęśliwem, przynajmniej sama Marya Anna uważała później ów przeciąg czasu za najszczęśliwszą epokę swego życia. Niemożna powiedzieć, aby książę ustatkował się zupełnie; podobno nawet próbował innych miłostek a zawsze powracał do Maryi Anny, tak że można przyznać, że był względnie stałym, kochającym, a nawet uległym dla żony, która umiała nim kierować.

Nieoględnym jednak i rozrzutnym był po dawnemu, tak, że często w kasie następcy tronu Wielkiej Brytanii brakowało nędznej kwoty 5 suwerenów (50 rs.).

Względne to szczęście zostało przerwane niespodziewanie, w sposób dziwaczny i nagły, z powodu na pozór błahego. Gdy bowiem tułający się na wygnaniu król Francyi, Ludwik XVIII, przybył w roku 1804 do Londynu, dwór angielski przyjął go z wielkiemi honorami, zaznaczając tem swą nienawiść do przywłaszczyciela tronu Francyi, Napoleona.

Na cześć wygnańca wydano wspaniały bankiet, na którym rodzina królewska i najznakomitsze osoby miały zająć miejsca stosownie do swych stanowisk.

— A jakie miejsce ja zajmować będę? — zapytała Marya Anna swego małżonka.

— Pani wiesz dobrze — odparł sucho książę — że nie zajmujesz żadnego stanowiska.

— Z wyjątkiem tego, które mi dałeś — odrzekła urażona pani.

Kiążę odwrócił się od żony i odszedł w milczeniu. Od tej chwili małżonkowie widywać się przestali. Pomimo to Maryą Annę otaczał powszechny szacunek; świat arystokratyczny nie przestał jej odwiedzać, a król wyznaczył jej 8,000 funtów sterlingów (80,000 rs.) rocznej pensyi.

Opuściwszy powtórnie Maryą Annę, książę Walii nie wrócił jednak do Karoliny. Przeciwnie, zaczął ją prześladować, otoczył szpiegami, rozpuszczał sam o niej krzywdzące pogłoski, a nawet zamierzał oskarżyć ją publicznie o niewierność małżeńską i zdradę kraju.

Jednakże opinia publiczna stanęła po stronie księżniczki i mąż musiał pozwolić jej na podróż do Ziemi Świętej i Egiptu, a następnie na dłuższy pobyt we Włoszech nad jeziorem Como.

„Pierwszy dżentleman Europy", porzucił tedy obie swe żony i rozpoczął na nowo życie kawalerskie. Wkrótce potem dostąpił władzy najwyższej, gdyż w roku 1811 król Jerzy III, z powodu nieuleczalnej choroby, zrzekł się rządów, zdając je synowi, który został księciem-regentem.

Anglicy nie byli jednak zadowoleni z nowego rządzcy i opinia publiczna była oburzona jego dwużeństwem i całem postępowaniem. Przyszło do tego, że raz w Styczniu 1817 roku, gdy książę-regent jechał na otwarcie parlamentu, zebrany

w parku S-t James tłum, rzucił się na jego powóz i padło kilka chybionych strzałów... Niewiele sobie robił ks. Jerzy z tej niepopularności i żył po dawnemu. Gdy na początku 1820 roku umarł Jerzy III, książę regent wstąpił na tron pod imieniem Jerzego IV i w Lipcu 1821 roku koronował się z wielkim przepychem. Dowiedziawszy się o tem, Karolina przybrała tytuł królowej i zapowiedziała swój powrót do Londynu. Król usiłował do tego nie dopuścić i ofiarował żonie 50,000 funtów sterlingów (pół miliona rubli) rocznie z warunkiem zrzeczenia się praw tytułu królowej i powrotu do Anglii na zawsze.

Ale energiczna królowa odrzuciła te propozycye. Wróciła do Anglii i w Lipcu 1821 roku odbyła uroczysty wjazd do Londynu, witana radosnemi okrzykami sympatyzującego z nią ludu. Dziwne to zaprawdę było widowisko, możliwe chyba tylko w Anglii: królowa odbywająca wjazd do stolicy swego małżonka, wbrew jego woli, pogardzona i nienawidzona przez króla, a jednak z zapałem witana przez jego poddanych.

Wszelako Anglia i Europa miały być świadkami zajść dziwniejszych jeszcze, bardziej skandalicznych i oburzających. Król postanowił wytoczyć w parlamencie skargę przeciwko żonie: jeden z ministrów, lord Liverpool wprowadził tę sprawę gorszącą ku wielkiemu obu izb zdumieniu. Ale minęły już czasy Henryka VIII, który za lada kaprysem rozkazywał parlamentowi wydawać wyroki potępienia i śmierci na swe żony: pomimo że lord Liverpool postawił przeciwko królowej mnóstwo świadków *fałszywych*, parlament ją uniewinnił.

Oburzenie wskutek niesłychanego skandalu napełniło całą Europę.

Nie na tem jednak był koniec. Nieszczęśliwa królowa zamieszkała osobno od męża, w pałacu zwanym brandeburskim i prowadziła dwór osobny, ale niedługo, gdyż zmarła już w Sierpniu 1821 r., w niespełna dwa miesiące po powrocie, złamana przebytemi wstrząśnieniami.

Przed zgonem mówiła do otaczających, że życie jej obrzydło, a śmierci pragnie gorąco.

Na trumnie, z woli zmarłej, położono napis: „Karolina, zamordowana królowa Anglii". Z tego powodu król nakazał policyi rozpędzić orszak pogrzebowy; przyszło do tumultu i bójki, w której było kilka osób zabitych i kilkunastu rannych.

Jednakże kondukt przebił się. Zwłoki nieszczęśliwej królowej, która na 26 lat małżeństwa miała jeden tylko rok znośnego pożycia z mężem, odwiezione zostały do Niemiec i pochowane w ojczystym Brunświku.

A Marya Anna? Nie wznowiła już nigdy stosunków z Jerzym IV, a przeżyła go o lat siedm. Gdy król, dręczony podagrą i chorobą sercową, a może i wyrzutami sumienia, znajdował się na łożu śmiertelnem, wzgardzona niegdyś małżonka, na usilne jego błagania, zgodziła się napisać do niego kilka słów pociechy, a były to już ostatnie. Otrzymawszy kartkę, umierający skwapliwie ją odczytał i następnie położył pod poduszkę, a konając kazał zawiesić sobie na szyi i pochować razem ze sobą portret Maryi Anny. Była to, bądź co bądź, jedyna kobieta, którą kochał, o ile mógł kochać ten zimny egoista. Jerzy IV-ty zmarł w Czerwcu 1830 r.

Za zbrodnię dwużeństwa i zamęczenie jednej z żon nie spotkała go żadna kara na tym świecie, z powodu że los postawił go wyżej ponad sprawiedliwość ludzką...

Marya Anna, na żądanie egzekutorów testamentu królewskiego, wydała chętnie papiery, dowodzące jej małżeństwa z warunkiem, aby były natychmiast spalone, co też i stało się w jej obecności. Do spadku po zmarłym nie rościła żadnej pretensyi, pomimo że straciła cały majątek na spłatę długów marnotrawnego małżonka w czasie ostatniego ośmioletniego pożycia. Poprzestała na pensyi dożywotniej, którą wyznaczył jej jeszcze Jerzy III i z niej utrzymywała się aż do zgonu w r. 1837.

Takie były smutne dzieje dwóch niewiast, na szczeblu fortuny ziemskiej postawionych tak wysoko, a jednak tak nieszczęśliwych. Dzieje to niezbyt dawne, bo prawie nam spółczesne, a swego czasu bardzo głośne, a jednak uległy już zapomnieniu, tak, że gdy za jakich lat sto lub dwieście, którybądź z powieściopisarzy europejskich obierze losy dwóch żon Jerzego IV za przedmiot do powieści lub romansu, spółcześni na karb jego fantazyi, jako zmyślone, położą wypadki najprawdziwsze.

Bo też przyznać należy, że owe koleje, w głównych zarysach w niniejszym artykule naszkicowane, istotnie zakrawają na zmyślenia romantyczne. Ale nic nowego pod słońcem i nie masz takich urojonych wypadków, któreby w przybliżeniu, nie odbywały się rzeczywiście tu lub owdzie, niedawno lub przed wiekami.

Karolina i Marya Anna nie odegrywały roli wybitnej w dziejach wojen i dyplomacyi swego czasu; ale wysoka wartość moralna tych postaci i zdumiewające dzieje ich cichego męczeństwa zasługują na to, abyśmy w galeryi „kobiet historycznych" dali miejsce tym dwum sympatycznym ofiarom nielitościwego męzkiego egoizmu.

JESIEŃ.

Przez mgły i chmury jesień się uśmiecha,
Jakby dalekiem wiosny przypomnieniem;
Lecz z jej postaci, zmroczonej półcieniem,
Uderza smutek i żałobna cecha.

Czarem usidla pojęcia człowiecze;
Gdy światłem błyśnie z po za chmur osłony,
Mało rozdaje, choć wiele przyrzecze:
Kto jej uśmiechom zaufał, szalony!

Jesienna poro! Twa ponura władza,
Zamienia serca w pustynię bezludną,
Wyniszcza kwiaty i szrony sprowadza.

Próżno nas wabisz obietnicą złudną,
Wdzięki twe, które blask wspomnień odmładza,
Podziwiać można, lecz uwielbiać trudno!

Emilia.

SKARB.

Kartka z podróży,

NAPISAŁ

F. K.

(Dokończenie.)

IV.

Teraz pojąłem dopiero, że sęka zadałem sobie nielada — mówił dalej Henryk. — Uwolnić pannę od nienawistnego sobie związku i to córkę bankruta, który na nim oparł ocalenie swoje, rzecz to prawie niepodobna do wykonania. Błąkałem się też po Paryżu, czyli raczej tłukłem się po nim jak Marek po piekle, ciągle myśląc nad wybrnięciem z kłopotu. Już to takie moje szczęście, że muszę zawsze znajdować się w jakiem przykrem położeniu, wtroczony w nie albo przez los zawistny, albo przez samego siebie.

— Potrzebne mi to? — pytałem sam siebie po raz może setny. — Co tu robić, co robić? Zły sam na siebie, wstąpiłem do wielkiej kawiarni opery, przeczytać gazety. Gości było mnóstwo, wszystkie miejsca były zajęte, tylko w jednym kąciku stał stoliczek wolny jeszcze. Zająłem go natychmiast, obok mnie zaraz w pobliżu siedział jakiś niemłody jegomość z wytworną ubrany elegancyą, zagłębiony w słynnym, brukowym organie Garnier de Cassagnaca, po którym szybko przebiegał oczami zaopatrzonemi w piękne złote okulary.

Podano mi kawę, którą mieszając myślałem bez przerwy o klinie siedzącym mi w głowie. Wtem nagle uczułem uderzenie w ramię i usłyszałem głos znajomy sobie:

— Jak się masz, Henryku, jakże się cieszę, że cię tu spotykam.

Obejrzałem się i zerwałem z radością poznawszy dawnego mego przyjaciela, Birona porucznika strzelców afrykańskich. Wojowaliśmy niegdyś razem w ostatniej wojnie z Niemcami, i lubiłem go bardzo, nawet kochałem. Był to zuch chłopak, trochę postrzelony ale z najpoczciwszem sercem.

— Witaj bracie! — zawołałem głośniej może jak wypadało w publicznem miejscu. — Co tu porabiasz, zkąd się wziąłeś na bruku paryzkim?

— Co porabiam? — odrzekł porucznik — ha! włóczę się od kąta do kąta i szukam właśnie czegoś takiego, coby się dało nazwać robotą: przybyłem zaś prosto z Afryki, bo mnie służba wojskowa już znudziła. Jak wojny nie ma, to w wojsku nuda nie do wytrzymaniu. Pić, grać w karty i miłostkować to znuży najwytrwalszego. Wziąłem więc dymisyą i jestem w Paryżu, ale co zrobię dalej, jeszcze nie wiem dokładnie.

Gawędę tę prowadziliśmy dość głośno, coś jakby niemieckim obyczajem, którym i Francuzi nie gardzą. Obok siedzący podżyły jegomość, nie był z tego zadowolony, widocznie przeszkadzaliśmy mu, bo kręcił się, krzywił, mruczał i spoglądał na nas błyszczącem okiem, jak kot na psa, zęby niego szczerzącego.

— Mów ciszej — odezwałem się — bo sąsiadom naszym przeszkadzamy.

Porucznik przyciszył się, ale tylko na chwilę i wpadając w zapał rozmowy, znowu prawdziwie

po obozowemu głos podnosił w czem i ja go, zapominając o wszystkiem, naśladowałem.

— Cóż jednak wreszcie zrobisz? — zapytałem, wysłuchawszy szczegółów jego życia, od chwili naszego rozłączenia i wzajemnie wszystko opowiedziawszy co mnie dotyczyło.

— Co zrobię? — powtórzył porucznik — dotąd jeszcze nie wiem, ale najprędzej podobno że się ożenię...

— Co, ty się ożenisz? — przerwałem zadziwiony.

— Ba! podobno to najprędzej mnie czeka, bo tylko rozważ. Mam od własnej fortunki po rodzicach 15,000 franków rocznej renty, lat trzydzieści życia i zdrowie rybie. Mam zaś dwie ciotki, stare jak Saturn, bogate jak Krezus, które mi przyrzekają zaraz po małżeństwie, zapewnić drugie 15 tysięcy franków dochodu i zrobić zapis całego swego mienia, które i za milionik kupić się nie da.

— Zapewne ciotki — odezwałem się — i wybór narzeczonej sobie zostawiły?

— Ale gdzietam! Przeciwnie, zupełną zostawiły mi swobodę i powiedziały, żeń się z kim chcesz z ubogą czy bogatą to dla nas wszystko jedno, byle była uczciwą, nas choć trochę kochała i byleś raz się ożenił i zakończył swe życie hajdamackie.

— A zatem? — spytałem.

— A cóż, trzeba się będzie ożenić, tylko to najgorzej, że jeszcze nic nie znalazłem takiego, coby mi przez oczy wpadło do serca.

— Jakto, więc się jeszcze nie kochałeś nigdy?

— Niby to coś... tak, trochę, jakiem miał lat piętnaście, ale jak ukochana, mająca wówczas lat ośmnaście zdradziła mnie i wyszła zamąż pomimo najsolenniejszych przysiąg, tak od tego czasu choć niby kocham, ale żadnym sposobem zakochać się nie mogę. Trzeba więc będzie ożenić się bez kochania... za pomocą supełków, ot zwyczajnie na chybił trafił.

— Ah! bracie — zawołałem — to ożeńże się z panną jaką ja ci nastręczę. Jest właśnie taką jakiej szukasz i nadto, mogę ci zaręczyć, że jeszcze nikogo w życiu nie kochała...

— Bardzo dobrze i owszem — zawołał porucznik, pociągając kamizelki, jakby się już do konkurów gotował. Powiedz mi jednak, jaki masz powód do swatania mnie...

— Ah! bo ją gwałtem chcą wydać za bogacza, którego nienawidzi.

— Za bogacza! — zawołał przyjaciel — i ona go nienawidzi?

— Jak samego lucypera.

— Wyborna dziewczyna! Poznaj mnie z nią natychmiast i jeżeli choć troszeczkę wpadnie mi w oczy, to owego panka zastrzelę jak psa...

— Tak, tak, boć to niegodziwość zmuszać dziewczę do małżeństwa...

— Podłość.

— Nikczemność.

— Coś podobnego może zrobić tylko nędznik... ale, ale, a jak się nazywa ta ofiara przemocy pieniężnej?

— Blanka de Rumeville...

— Dobrze, a napastnik?

— Margrabia Morvani, starzec zgrzybiały, zniszczony, pół dyabła, pół poczwary...

— Kłamstwo! — nagle zawołał siedzący obok nas ów nieznajomy. — Kłamstwo! — powtórzył drżącym głosem. — Jestem właśnie margrabią Morvani i wiem, że przybyliście tu umyślnie, aby mnie znieważyć, aby głośną swą rozmową zrobić skandal i narazić na publiczne pośmiewisko. I udał się wam nikczemny spisek, oczy wszystkich gości w tej kawiarni zwróciły się na nas; odzywam się też do was panowie jako ludzi honoru i oświadczam głośno i publicznie, że ci... ot co tu siedzą, są kłamcami, jakich wygania się kijem z każdego towarzystwa ludzi ceniących swoją godność.

Porucznik Biron, aż ryknął z gniewu i poskoczył ku margrabiemu, ale go wstrzymano. Jam także rzucił się, ale i mnie ten sam los spotkał, byłem osłupiały, ledwo mogący oddychać, porucznik to samo a margrabia skinieniem podziękowawszy zgromadzonej publiczności, wydobył bilet wizytowy, położył na stole i zapewniwszy o swej gotowości na wszelkie nasze żądanie, wyszedł z powagą z kawiarni.

Rozpoczęły się rozprawy, jedni stanęli po naszej stronie, drudzy margrabiego byli obrońcami, ale gdy poznano rzeczywisty stan rzeczy, że nie znając margrabiego nie mogliśmy powziąć zamiaru znieważenia go publicznie, że całego zajścia jedyną przyczyną było zbyt głośne prowadzenie rozmowy, osądzono jednogłośnie, że właściwie powodu do pojedynku nie ma i że wszystko powinno się skończyć wzajemnem porozumieniem.

Przyjaciel jednak mój innego był zdania, ja to samo i drugiego dnia margrabia otrzymał dwa wyzwania.

— No i cóż się stało? — zapytałem.

— Byłoby może źle się stało bardzo, bo margrabia strzelał wybornie, ale ni z tego ni z owego znaleziono go nieżyjącego przy biórku z czołem opartem na krawędzi. Pojedynek też nie przyszedł do skutku. Biron wściekał się ze złości.

— A to figlarz stary! — zawołał. — Gdyby się był wstrzymał jedną dobę... tchórz szkaradny...

— Daj pokój, bracie, przerwałem. Zimna krew jaką okazał w całem zajściu, nie może tchórza znamionować.

— To prawda, ale zawsze szkaradnego figla nam wypłatał.

* * *

Już w dzień pogrzebu pana Morwani, a na dwa dni przed oznaczonem widzeniem się mojem z Blanką, dowiedziałem się, za pomocą mego pana Adolfa, zabawnych i dziwnych zaiste rzeczy.

W dniu zaręczyn jeszcze, margrabia, pozwolił przyszłemu teściowi, zahypotekować pół miliona na swych posiadłościach.

Otóż pan de Rumeville, miasto wręczyć go wierzycielom, lub włożyć w swe szaty, jak tylko sprawdził wieść o śmierci margrabiego, zostawił pełnomocnictwo do układów, lub występowania z ramienia upadłości, swemu adwokatowi a sam, z małżonką i pieniędzmi drapnął cichaczem do Anglii.

Córkę zostawił na opiece losu. Miała ona podobno zamiar udania się pod Belfort, do majętności starej ciotki, piętnastego jednak Kwietnia, zastałem ją znów czekającą na mnie w ogrodzie. Smutna i milcząca wyjęła z kieszonki okrycia list i podała mi go.

Był on od margrabiego, adresowany do ojca Blanki, w wigilję pojedynku.

Oto co pisał:

„Jutro, o świcie, biję się z jakimś panem S..., który będąc jak sądzę kochankiem pańskiej córki, znieważył mnie publicznie, nazywając nędznikiem.

„Jeżeli zginę, radzę panu schować do kieszeni moje pół miliona i wydać córkę za owego błędnego rycerza.

Henryk Morvani."

A poniżej był dopisek ojca:

„Wyrodna córko, wyrzekamy się ciebie. Rób co chcesz i nielicz na nas więcej w tem życiu."

Nie będąc panem oburzenia, zmiętosiłem pismo.

Pocieszać Blankę byłoby rzeczą niemającą sensu zdrowego.

— Wiem wszystko o tobie — odezwałem się — wiem i to, że chcesz pani udać się do ciotki pod Belfort. Kiedy chcesz opuścić Paryż?

— Im prędzej tem lepiej — odrzekła bez namysłu.

— Więc dziś, kuryerskim pociągiem, o jedenastej wieczorem...

— A pan? — szepnęła.

— Odprowadzę panią, aż do Belfortu.

. . . .

W wagonie, przegawędziliśmy całą podróż. Urocze to były chwile! Jeżelim umilkł, wpatrywałem się w oblicze mej towarzyszki i myślałem sobie: mając taki skarb, dlaczego go nie cenię według jego wartości? Dlaczego szczęście jego gwałtem chcę powierzyć komu innemu, gdy sam mogę zostać jego opiekunem?

— Głupcze! — dodałem po chwili. — Sam sobą nie umiesz się opiekować a pragniesz zostać opiekunem obcej osoby. Jesteś włóczęgą gnanym jak liść zwiędły, lada wiatru podmuchem, bez dachu, bez jutra... bez ojczystej ziemi, jakże możesz przykuwać do swego losu tę, którą... pokochałeś?

Spuściłem smutnie głowę, a gdym na nowo rozpoczął przerwaną rozmowę, Blanka wyspowiadała mi się ze wszystkich swych marzeń, ja zaś opowiedziałem jej częściej smutne niż wesołe mego życia koleje; wszystkie doznane zawody i rozczarowania, niknące w myśli niepewnego jutra, ostatki wiary w przyszłość.

O miłości... ani słowa.

Zresztą, pocóż było powtarzać to, co sobie nasze oczy wypowiedziały już tylokrotnie.

— Ja sam, z całą pewnością siebie i obyciem w dam kole, przy tej dziewczynie byłem nieśmiały zupełnie.

W Belforcie, na dworcu, czekały już na nią konie.

— Kiedyż się ujrzymy? — spytała.

— Jak zdobędę sobie raz niezależne stanowisko — odrzekłem i z żalem choć starannie tłumionym dopomogłem jej do zajęcia miejsca w powozie. I długo potem stałem przed dworcem kolei wpatrując się w stronę oddalającego się szybko powozu. Dziwny smutek mnie ogarnął. Czułem że w duszy mojej jakiś odbywa się niezwyczajny przewrot, jakbym zmieniał się w innego człowieka. Sprawiało mi to boleść, ale z radością połączoną... Dziwne to było ale prawdziwe i wtedy zadałem sobie pierwszy raz pytanie, czyliżby to było obudzenie w mem sercu prawdziwej miłości?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

Zajście moje z margrabią Morvanim, stało się głośnem w Paryżu. Był on nienawidzony powszechnie dla swej pychy, zarozumiałości i imperty-

nenckiego obejścia, graniczącego z gburowatością.

W Café Riche poznałem się z pewną figurą, dobrze notowaną na cesarskim dworze. Nie mogłem się opędzić natarczywości owego pana, w ofiarowaniu mi swych usług. Zmarły obraził go niegdyś śmiertelnie... ztąd sympatya dla mnie.

Raz, gdy znów oświadczył gotowość poparcia mnie w wyższych sferach:

— Wyrób mi pan jeżeli możesz — odrzekłem bezmyślnie prawie — obywatelstwo francuzkie i wstęp do armii. Już od roku ubiegam się o ten zaszczyt, że jednak nie stale Francyę zamieszkuję...

— Zrobię co będzie można — odparł ściskając mi rękę.

Tymczasem wybuchła wojna.

Któż opisze moje zdumienie, gdy w pięć dni po owej sławnej deklaracyi izby prawodawczej, przyniesiono mi dwie wielkie koperty. Jedną z nagłówkiem ministerstwa spraw wewnętrznych, drugą ministerstwa wojny.

W pierwszej był mój akt naturalizacyi a w drugiej nominacya na podporucznika w 12 pułku piechoty, przebywającym w Belforcie.

Z gazet, wiesz o figlu jaki wypłatałem niemcom w reducie numer 7, a wierzaj, że nie moja wina, iż razem z nimi nie wyleciałem w powietrze.

Zbudziłem się z letargu w szpitalu wojskowym, ze zgruchotaną lewą ręką i nogą lewą powyżej kostki.

Dzięki łzom Blanki i złotu ciotki, gdyż obie schroniły się do miasta, pięciu doktorów pracowało przez dwa miesiące nad zachowaniem mi i ręki i nogi. Obyło się bez amputacyi.

Tu Henryk dobył zegarek.

— Już po szóstej! — zawołał wesoło. — No, marsz w drogę... ostatnie słowo zakończenia, opowiem ci przy stole.

Jestem idealnie... głodny.

Wchodzących do eleganckiego przedpokoju, powitał nas pięcioletni malec, wołając:

— Ah! ojcze! mama czeka na ciebie i czeka i aż płacze.

On wziął chłopca na ręce i poniósł do salonu.

Wszedłem za nim.

W bocznych drzwiach ukazała mi się kobieta w żałobnej sukni, owa zapewne Blanka, dziś żona mego przyjaciela.

Zmieszała się trochę na niespodziewany widok obcego, gdy jednak dowiedziała się, że jestem męża jej dawnym, szkolnym kolegą, powitała mnie z całą francuzek serdecznością.

— Proszę chwilę spocząć! — rzekła i wyciągnęła do mnie rączkę.

— Mąż wspominał mi często o panu.

— A tak! — dorzucił mój przyjaciel. — Właśnie przed chwilą opowiedziałem mu wszystko.

— Gawędźcie więc panowie dalej — odezwała się Blanka — a ja przez ten czas zajmę się obowiązkami gospodyni, przewidując, że jesteście głodni.

I wyszła z pokoju a Henryk zwracając się do mnie, rzekł:

— Otóż masz rozwiązanie historyi mego życia. Ożeniłem się, a od chwili jak pokochałem Blankę, wszystko zmieniło się ze mną, zostałem jakby innym człowiekiem. Pracuję teraz w dziennikarskim zawodzie z dość przyzwoitem wynagrodzeniem i z pewnemi widokami na przyszłość. Przed rokiem rodzice Blanki umarli oboje, odziedziczony po nich majątek a raczej zapis margrabiego spadł na nas najniespodziewaniej, w połowie wprawdzie tylko, ale mimo tego przy pracy mojej zostaliśmy na prawdę bogaczami. I cóż ci więcej powiem? Ot jestem zupełnie szczęśliwy, nie przez zdobyte mienie, ale przez miłość, jaką kocham i jestem kochany. O tak, mój bracie, miłość prawdziwa to skarb, którym na nieszczęście pozytywni moraliści pomiatają, jako ideałem przeszłości, dziecinnem marzeniem, rozbitem w puch przez trzeźwą rzeczywistość. Szaleńcy! Dar to prawdziwie Boży, mrzonki mędrców ziemskich nie wytrawią go w sercu ludzkiem i czem jest tem na wieki pozostanie, jedyną pociechą i jedynem szczęściem człowieka!

DWA OGNISKA DOMOWE.

PRZEZ

AUTORKĘ „JOHNA HALIFAKSA".

Przełożyła z angielskiego

Zofia Bogumiła.

(Dalszy ciąg.)

Emilia czekała, jak zwykle, powrotu męża z miasta, siedząc nad kołyską śpiącej swojej lilijki, imię jej było Lawinia, ale ją rodzice Lilijką zwali, gdyż dziecię, we śnie zwłaszcza, podobne było do tego kwiatu. Matka szyła z zajęciem sukienkę do Chrztu dla swojej pieszczotki, a myśli jej biegły szybko, jak pracujące jej palce, biegły w daleką przyszłość; aż się w końcu roześmiała, spostrzegłszy z jaką dziś już powagą zastanawia się nad chwilą, kiedy przyjdzie szyć ślubną suknię, dla tej kilkomiesięcznej dzieciny, co nieświadomie śpi pod okiem matki.

Trochę później niż o zwykłej godzinie, przyszedł Henryk, wogóle był bardzo akuratny. Blady był i oczy miał jakieś niespokojne; ucałował żonę z większą może czułością, jak zawsze; a choć Emilia zaraz dostrzegła, że coś zajść musiało, czekała jednak, aż jej sam to powie, jak czynił zazwyczaj. Tym razem jednak milczał uparcie.

Ona rzuciła parę pytań ubocznych, ale otrzymawszy na nie krótką tylko odpowiedź, przekonała się, że tą drogą nie trafi do celu. Spróbowała więc rozerwać go, mówiąc o Lilijce i jej chrzcinach.

— Patrz, Henryku, jak ślicznie jej będzie w tej sukience, pieszczotce tej naszej! — rzekła rozciągając przed nim swą piękną robotę.

Henryk zakrył sobie oczy rękami.

— Och! weź to! weź! — zawołał tonem głębokiej boleści. — Nie mogę myśléć o takich rzeczach, Emilko! Powinienem ci wszystko powiedzieć szczerze, a nie mam odwagi.

— Cóż to być może, czegobyś nie miał odwagi powiedzieć przedemną? mój jedyny! — zapytała Emilia, obejmując jego szyję rękami. — Nie dopuściłeś się przecież złego czynu, pewna tego jestem; a gdybyś nawet źle w czem postąpił, jabym ci przebaczyła, wiesz dobrze.

— Nie zrobiłem nic złego, Emilio; może było to z mej strony szaleństwem, lecz nie było nieuczciwością.

— Mów, mów, Henryku, ukochanie moje! — rzekła tak cichym szeptem, że mógł go wziąć za głos własnego serca, zachęcający do wyznania.

— Ha! powiem ci wszystko, słuchaj! Znasz mego brata, Jerzego, wiesz jaki on we wszystkiem lekkomyślny! Otóż przed rokiem przyszedł z tem do mnie, że mu się przedstawia interes świetny, ale wymagający gwarancyi i prosił mnie o pomoc. Naturalnie, żem mu nie odmówił; zaręczyłem za niego całem naszem mieniem, przyszłym posagiem naszej biednej Lili i dziś uciekł do Ameryki z kapitałem swego patrona; skrzywdził i jego i nas. Zostaje nam tylko ta szczupła pensya moja na całe utrzymanie. A! to cios straszny, upadam pod jego ciężarem!

— To już wszystko? — odrzekła. — No! to nic tak strasznego — i uśmiechnęła mu się przez łzy.

Mąż spojrzał na nią zdziwiony.

— Czyż nie wiesz, że będziemy daleko ubożsi niż dotąd, że trzeba nam będzie wyrzec się wielu wygód i przyjemności? A dziecina nasza rośnie. Ah! jakżem był szalony, jak lekkomyślny! znając Jerzego.

— Nie myśl już o tem, drogi Henryku. Żal mi tylko, żeś mi tego dawniej nie powiedział.

— Słusznie mi wyrzucasz brak otwartości — rzekł Henryk powoli i z przykrością — poświęciłem żonę i dziecko dla brata, który nie wart tego. Z mojej winy spada na was ubóstwo.

Emilia popatrzyła na męża oczyma głębokiego przywiazania.

— Henryku! kiedy tak mówisz, toż i ja powinnam przypomniéć o sobie; powinnam pamiętać, żem ci żadnego nie wniosła posagu, że wszystko co mam, tobiem tylko winna. Skoro o tem pomyślę, jakież mam prawo się żalić, jeśli nam odtąd nie wystarczy na zbytki, a choćby nawet i na codzienne potrzeby?

— Moja ty szlachetna, jedyna żono! — zawołał Henryk, biorąc ją w objęcia. — Tyś mi wniosła skarb największy, jaki człowiek posiadać może, bo serce kochające i prawe.

I tak oto przeciwności losu rzuciły cień chwilowy, na tę szczęśliwą, sercem zjednoczoną parę.

Narodziny syna pojednały cokolwiek i zbliżyły sir Franciszka Lester z małżonką, ale życie ich poprzednie szło już za długo zmąconym biegiem, aby nastąpić mogło prawdziwe zjednoczenie; było to zatem tylko uspokojenie chwilowe. Kiedy sir Franciszek zapomniawszy na chwilę swego zwykle chłodnego, wyniosłego obejścia, pieścił swe dziecię, pyszniąc się z nowo nabytej godności ojca, to pieszczoty jego, po pierwszych chwilach radości, przejmowały bólem serce Izabeli. Zazdrosna była nawet o swe niemowlę, przypisując częstsze towarzystwo męża tej jedynie rozkoszy, jaką znajdował patrząc na syna, na dziedzica imienia swego i fortuny.

Nie dowierzała zwiększonej czułości, jaką okazywał jej samej, dopóki zniechęcony jej chłodnem obejściem, nie zaczął znowu za domem szukać rozrywki i przyjemności, których nie miał we własnym domu, bogatym, wspaniałym, ale niemiłym.

Coraz to bardziej obcym się stawał w swem kółku rodzinnem; żona rzadko widywała go śród dnia, wieczory zwykle przepędzał na mieście. Jeśli się na to uskarżała, albo pytała gdzie idzie, lub zkąd powraca, jedyną jego odpowiedzią było wyniosłe milczenie.

W pierwszych czasach swego małżeństwa, nieraz udało się Izabeli zmiękczyć wolę męża pieszczotą lub łzami. Ale dziś to już minęło; łzy były bezskuteczne, potęgi pieszczot nie chciała próbować.

Cień już tylko dawnej miłości marniał w sercu młodej kobiety, a miejsce jej zastąpiły dziś: zazdrość, podejrzliwość i duma obrażona.

Dnia pewnego brzask poranku zastał lady Lester wracającą z balu; była sama, bo mąż nigdy jej nie towarzyszył. Na pierwsze jej zapytanie: czy pan powrócił? odpowiedziano: „Nie jeszcze". A zdarzało się to często, bardzo często, że do białego dnia bawił po za domem. Lady Lester zacięła usta z gniewu i poszła do siebie, ale zaledwie próg przestąpiła, wszedł sir Franciszek.

— Późno coś wracasz — rzekła żona.

On nie odpowiedział nic na to.

— Gdzieżeś był?

— W żadnem takiem miejscu, coby cię obchodzić mogło.

— Sir Franciszek Lester — ciągnęła dalej Izabela, usiłując mówić spokojnie, głos jej drżał jednak. — Daruj, ale mam prawo wiedzieć, gdzie bywasz i co robisz, mam prawo jako żona.

— Nie wznawiajmy nieprzyjemnych kwestyi, ja się nigdy nie wtrącam do twego postępowania.

— Bo wiesz, że w mem nie ma nic złego. Ja nie mam nic do ukrywania, ty masz.

— I skądże ta pewność?

— Ah! widzę przecież! Tak, miałam słuszność— zawołała uderzona nagłą zmianą w wyrazie jego twarzy. — Mamże powiedzieć co myślę, co świat mówi o tobie? Mówią, że się zgrywasz!

— Kłamią bezczelnie! — krzyknął w gniewie sir Franciszek, ale po chwili uspokoił się i dodał— przepraszam lady Lester, dobranoc.

— Franciszku, odpowiedz mi! — wołała w najwyższem poruszeniu żona — gdzie tak przesiadujesz i dlaczego? powiedz mi, powiedz!

— Nie chcę! — odrzekł mąż. — Haniebna ciekawość podejrzliwej żony nie zasługuje na to, aby jej czynić zadość. Dobranoc.

Izabela przycisnęła pałającą głowę do poduszki i płakała długo. Zanim słońce zajrzało w jej bezsenne oczy, powzięła silne postanowienie:

— Ja muszę wiedzieć! — mruknęła nieszczęśliwa, rozmyślając nad świeżo osnutym planem. — Niech się dzieje co chce, muszę wiedzieć, gdzie on przesiaduje. Przekona się, że jestem mu równa.

We dwa dni później sir Franciszek, jego żona i matka siedzieli przy suto zastawionym stole. Nie było nikogo z gości, co się trafiało niezmiernie rzadko, gdyż tutaj wizytujący byli zawsze pożądani, bo przerywali smutną jednostajność domowego sam na sam. Biada domom w których się tak dzieje!

Milcząco i etykietalnie prezydowała lady Lester u stołu swego męża. Jakże posępnym był ten stół mimo całej swej wspaniałości, pomimo licznej służby, przesuwającej się cicho, a przy nim ci troje w postawach sztywnych i przymuszanych, zamieniający od czasu do czasu jakieś słówko chłodnej grzeczności i znowu milknący jak przedtem.

Kiedy słudzy odeszli, sir Franciszek przemówił parę razy do żony zwykłym swym tonem, może nawet z większą nieco uprzejmością, ale ona nie zadała sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć, zwrócił się więc do matki. Po chwili rozmowy starsza lady Lester wstała.

Lica Izabeli zbladły cokolwiek, kiedy się odezwała w te słowa:

— Muszę mówić z moim mężem, zanim się rozejdziemy.

Sir Franciszek spojrzał na żonę, a matka dodała z przekąsem:

— Może państwa samych zostawić.

— Jak się mamie podoba — odpowiedziała Izabela z gorzkim przyciskiem. Jakże różną dziś była od owej dawnej Izabeli Stratford, pełnej słodyczy i dobroci.

— Ale może byłoby to nieprzyjemną nowością dla pana słuchać żony w nieobecności matki.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał zimno mąż.

— To znaczy, że czegoś mi sam nie chciał powiedzieć, tego się dowiedziałam inną drogą. Wiem już teraz gdzie i jak spędzasz wieczory, których jak sądzisz, żona w twem towarzystwie spędzać niegodna. Wiem nawet, gdzieś był ostatniej nocy. Piękna rzecz, szlachetna rzecz, aby sir Franciszek Lester marnotrawił swój, ah! i żony majątek w domu gry!

Sir Franciszek zerwał się od stołu.

— To fałsz! — krzyknął z mocą, a sine żyły nabrzmiały mu na czole.

— To prawda! — zaprzeczyła Izabela. — Przekonałam się o tem.

— Czy można zapytać jakim sposobem?

— Przez zeznanie naocznego świadka, który cię widział wchodzącego do domu gry.

— Czy mam ci wyjaśnić, Franciszku, jak uzyskano to świadectwo przeciw tobie? — rzekła matka tonem gryzącym, którego tak dobrze używać umiała.

— Teraz już wiem, czemu lady Lester dawała wczoraj i dzisiaj takie długie posłuchanie ojcu swojej dawnej służącej i do czego tak bardzo potrzebowała jego pomocy, użyła go na szpiegowanie własnego męża!

Sir Franciszek bezwiednie zacisnął pięści i bystro patrząc w oczy żonie, rzekł głosem niskim i tak stłumionym, że zaledwie można go było słyszeć:

— Izabelo Lester, czy to prawda?

Jakkolwiek lady Lester bardzo zbłądziła, nie zaszła jednakże tak daleko na drodze złego, aby fałszem pokrywać swą winę, odpowiedziała więc pewno, choć żywy rumieniec okrył jej twarz całą i szyję:

— Zupełna prawda.

Na wielkie zdziwienie Izabeli, mąż ani słowa nie odrzekł na to wyznanie. Spuścił głowę a rysy jego stały się nieruchome, jak marmurowe. Nie usprawiedliwiał się, nie robił jej żadnych wyrzutów, a to milczenie jego, drażniło ją do najwyższego stopnia.

Śród gwałtownych wybuchów łkania, wyrzuciła potok oskarżeń, cały ów przymuszony spokój opuścił ją. Obrzuciła sir Franciszka Lester gradem gorzkich wyrzutów skrzywdzonej żony.

— Za długo już cierpiałam, dłużej cierpieć nie myślę — wołała w uniesieniu. — Nie ufasz mi, a więc i kochać mnie nie możesz! Wrócę do tego, który mnie kocha, wierzy mi i ufa, do mego dobrego, kochanego ojca. Uwolnię cię od siebie, musimy się rozstać!

— I rozstaniemy się — odpowiedział sir Franciszek tak lodowatym tonem, że przeszył jak sztylet serce Izabeli. Wstał powoli i krokiem pewnym poszedł ku drzwiom, ale tu zachwiał się na nogach i chwycił klamki, jak człowiek pozbawiony wzroku.

Trwało to chwilę tylko, poczem drzwi się za nim zamknęły, wyszedł.

Izabela siedziała nieruchoma, tak jak ją zostawił, łzy przestały jej płynąć, cicha była i blada, jak posąg z marmuru. Matka piorunowała, obrzucając ją szyderstwem i obelgami, ale mówiła, jak do martwej.

W końcu wyszła z pokoju. Skoro słudzy przyszli zebrać nakrycie, znaleźli panią siedzącą jeszcze na swojem miejscu, wpół na stole przechyloną, ale całkiem bezprzytomną i nieczułą.

Emilia Wolforstan wezwana do nieszczęśliwej Izabeli, koiła jej boleść, zapominając o przeciwnościach własnego losu. Od dwóch dni już trwała maligna chorej, a o sir Franciszku żadnej nie było wiadomości. Jego mniemana wina niczem się obecnie nie wydawała żonie w porównaniu z obawą, aby jej bezrozumne słowa nie zostały wzięte na seryo, aby się nie musieli rozłączyć. Wkrótce jednak obawa zamieniła się w okropną pewność. Sir Franciszek zawiadomił listownie ojca Izabeli, że zamiarem jego jest nie wracać już więcej do domu, który żona jego zajmuje, że cały jej majątek i część swojego przepisuje na jej imię, gdyż się muszą rozłączyć.

Daremnie stary, stroskany ojciec, widząc boleść córki, hamował słuszne swe oburzenie i starał się odwieść zięcia od tego; bronił sprawy Izabeli.

Sir Franciszek był nieugięty.

(Dokończenie nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Niedawno dzienniki doniosły, iż na firmamencie niebieskim, w dużej mgławicy w znaku Andromedy, w której przez najsilniejsze teleskopy nic nie można było dostrzedz, nagle wytrysła gwiazda siódmego rzędu o żółtem zabarwieniu. Niespodzianego tego przybysza astronomowie powitali z wielką wrzawą i ja go witam z radosnem uczuciem, jako iskierkę nowego światła, którego za wiele być nigdy nie może.

Gdyby wśród mroku co głuszy prawdy, choć ich rąbki zajaśniały świetlaną smugą skarbów w nich zamkniętych; dałbym... wiele, bardzo wiele, dałbym, jak mawiali nasi ojcowie, konia z rzędem, choć ani jednego włosa z grzywy jego nie posiadam.

Niestety! daremna to ofiara.

Braku serca i rozumu, braku wszelkich uczuć co człowieka po nad zwierzęta wynoszą, niedawno mieliśmy dowód w gronie kilku rodzin włościańskich, wygnanych z Poznańskiego i przybyłych koleją do Warszawy. Aż litość brała patrzeć na to biedactwo, smutne, zbiedzone, przejęte trwogą, a jednak posądzone o wrogie zamiary dla wielkiego vaterlandu niemieckiego. Są wprawdzie dzienniki co ujmując się za pokrzywdzonymi, wypychanie takie spokojnych ludzi nazywają bez ogródki barbarzyństwem, ale głos ich niknie wśród ogólnych oklasków złych i głupich, niewidzących dalej jak koniec swego nosa.

W Anglii coraz częściej podnoszą się głosy przeciw zbytniemu napływowi niemców, we Francyi radziby ich spojrzeniem, jak motyla umieścić na szpilce w muzeum starożytności; w Hiszpanii tak im dokuczają, że wielu już uciekło, drudzy do ucieczki zabierają się, a w prasie i na zgromadzeniach coraz groźniej przeciw niemcom występują.

W Pilźnie, w bawaryi, na żądanie niemieckich żołnierzy, aby czescy po niemiecku rozmawiali, odpowiedziano takim nawałem kufli i bójką ztąd powstałą, że kilkunastu niemców zostało rannych a kilku nawet ciężko. We Lwowie postanowiono nie prenumerować nadal czasopism niemieckich i numera najświeższe otrzymane z Berlina odesłano z oświadczeniem, że pieniądze abonentowe muszą ofiarować dla ziomków wypędzonych z księztwa.

Kraków oznak niechęci żadnych nie okazuje, a nawet przeciwnie, ośmdziesięciu inżynierów i architektów czystej krwi austryaków, przybyłych z Wiednia dla przyjrzenia się starej architekturze Krakowa, przyjmował z wielką gościnnością i szczególnem odznaczeniem.

Na dworcu kolei powitali gości: komitet techników, delegaci ze Lwowa i technicy innych miast galicyjskich, zgromadzeni licznie.

Przez cały dzień przybyli podzieleni na grupy, zwiedzali osobliwości miasta, podziwiając mnóstwo zabytków i ich piękność nieporównaną. Po południu odbyto wycieczkę na Kopiec Kościuszki i na Bielany, a wieczorem do wspólnej uczty zasiadło około dwustu osób.

Ponieważ miód polski jakoś gościom przypadł bardzo do smaku, a i winko było dobre, toastów więc nie brakowało; z każdego wypływało setki komplementów, grzecznostek, uprzejmości, pochwał, podziwów, przy których ściskano się, wróżąc braterstwo i zwyczajem niemieckim klepano się po plecach i ramionach na dowód, że brat nasz zawsze się da w pole wyprowadzić i chwycić jak płotka na wędkę przymilenia.

Pan Józef hr. Łubieński, redaktor „Inżynieryi i budownictwa" i p. Feliks Wesołowski sprawę tę podjęli i we wniosku ściśle sformułowanym przedstawili Towarzystwu popierania przemysłu i handlu w Petersburgu, konieczność wyjednania u rządu, zabronienia sprowadzania z zagranicy cudzoziemskich dyrektorów fabryk, inżynierów, techników i robotników, i posługiwanie się w fabrykach wyłącznie poddanymi rossyjskimi i żeby tylko takim wolno było fabryki zakładać.

Podanie to zrobione jeszcze 28 Kwietnia b. r., ma być podobno w jesieni poddane pod narady ogólnego zebrania Towarzystwa.

Zawsze to jednak dowód, że pragniemy otrząsać się z biedy i co można robić, aby mniej była złośliwą. Widocznie zapomniał o tem jeden z obywateli ziemskich z Lubelskiego, który żeniąc się i urządzając dom, sprowadził za 9,000 rubli mebli z fabryk zagranicznych, jakby u nas brakło równie dobrych jak w Wiedniu fabrykantów.

Wprawdzie wydatek choćby stu tysięcy na sprawunki zagraniczne, kraju nie zniszczy, ale boleść serce przenika na myśl, że są jednostki u nas i to w klasie wybitne zajmującej miejsce, które brną przez życie z głową ku ziemi schyloną jak wół w jarzmie lub na pastwisku trawę skubiący.

Ale zostawmy w spokojnem przeżuwaniu podobnych trutni społecznych. Pojęcie solidarności i braterstwa wzmaga się i zbliża do siebie najmniej przyjazne żywioły. W chwili bowiem goszczenia wiedeńczyków w Krakowie, partya galicyan złożona z 350 osób, udała się do Buda-Pesztu, zapoznać się z węgrami na własnym ich gruncie. Przyjęcie było bardzo serdeczne. Na całej linii kolei, grono jadących było niezmiernie ostentacyjnie przyjmowane, a na dworcu w Peszcie czekało na pociąg *czterdzieści tysięcy* węgrów a w tej liczbie wielu najwybitniejszych przedstawicieli inteligencyi węgierskiej.

Zjazdy takie jakże wielkim urokiem przyświecają pochodowi ludzkości w szrankach życia do tajemniczego zdążającego celu. Brzemienne wielką przyszłością, w radosnych okrzykach z tysiąca wydobytych piersi, są jakby przedświtem nowego słońca, co w niedalekiej może przyszłości ma zajaśnieć nad światem i z mrocznych wydobyć go ciemności.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Wystawa ogrodnicza** urządzona zbiorowemi siłami kilku ludzi wytrwałej pracy i dobrej woli przedstawiła się nam w całej świetności i śmiało rzec można przeszła nasze oczekiwania.

Nie brak malkontentów zarzucających to lub owo, ale podobnych mamy wszędzie poddostatkiem; lubią oni i oponować zapewnieniem, że widzieli rzeczy dużo lepsze, my zaś odpowiemy im tylko: „a więc zróbcie lepiej."

Dla ludzi, którzy interesują się żywo każdym najmniejszym objawem postępu w kraju naszym, wystawa ogrodnicza stała się nader przyjemną *niespodzianką*. Podkreślamy ostatni wyraz, bo tak jest z wielu bardzo względów. Ogrodnictwo u nas jest bardzo świeżym nabytkiem a w przeciągu krótkiego czasu dobra wola kilku specyalistów, dokonała już tak wiele, że dużo jeszcze po nich spodziewać się można.

Hodowla kwiatów i warzywa rozwinęła się świetnie w rękach umiejętnie ją prowadzących, a nasiona, to setki tysięcy rubli zatrzymanych w kraju, które dotychczas zagranicę wywożono.

Szkoda wielka, że znaczne koszta (podobno 7,000 rubli) wyłożone na urządzenie wystawy, powróciły się z trudnością, o zyskach dla Towarzystwa ogrodniczego nie ma co i myśleć. Bo też pogoda stale nie dopisywała, deszcz i zimno zmieniały się naprzemian, publiczność, pomimo najszczerszych chęci nie zjawiła się tak licznie jak się spodziewano.

Ci zaś, którzy niezrażeni słotą i zimnem zwiedzili wystawę, zachwycali się doborem kwiatów, pysznym układem bukietów i wiązanek, szczególniej firmy br. Hozerów, wspaniałą kolekcyą róż pp. Kaczyńskich, oraz pięknym kapeluszem-żardinierką.

Oryginalnym był widok kobierca z warzyw i owoców grzędowych, a oddział warzyw złożył dowodne świadectwo rozwoju i gruntownych podstaw racyi bytu ogrodnictwa naszego, które przez długie lata leżąc odłogiem, obecnie rozwija się świetnie.

*** **Jeneral-sos.** Nauka kontrapunktu w muzyce, podaje nam wskazówki dotyczące jeneral-basu, a ostatnia rewizya sanitarna zaznajomiła nas z jeneral-sosem.

Co to jest? spytają Czytelniczki zdziwione tak oryginalnym tytułem przyprawy, niezbędnej przy każdym obiedzie.

Restauracye, których specyalnością jest rozpowszechnianie chorób żołądkowych, katarów kiszek, zapaleń i t. p., preparują tłustą podlewę, służącą do wszystkich potraw i ta właśnie nosi nazwę jeneralnego sosu.

Zwiedzając te podejrzane laboratorya, w których kucharze pełnią rolę średniowiecznych alchemików, przyrządzających trucizny, komisya kazała powylewać całe naczynia jeneral-sosów. Każda z gospodyń znających się choć cokolwiek na kuchni, z trudnością uwierzy w istnienie podobnego szkaradzieństwa, a jednak czyż można nie wierzyć, zwłaszcza w chwili, gdy truciciele vel restauratowie zostali pociągnięci do odpowiedzialności na drodze sądowej.

*** **Z dziejów przemysłu.** Nowy szwindel niemiecki wchodzi w drogę naszym szewcom, którzy i tak od lat kilku narzekają na ciężkie czasy. Spekulanci z nad Sprei założyli w Warszawie mechaniczną fabrykę obuwia, które naturalnie, jako znacznie gorsze od wyrobów ręcznych, odznacza się taniością. Spodziewamy się jednak, że mało znajdzie się łatwowiernych, który na ten figiel złapać się dadzą, w każdym razie jednak, nowość jako nowość, obudzi zajęcie i przyniesie szkodę naszym rzemieślnikom.

Pocieszającym wobec tego jest fakt, że kapelusznicy tutejsi otrzymali w ostatnich czasach znaczne zamówienia z cesarstwa.

Jak jednak nazwać postępek pewnego nowożeńca, który sprowadził z zagranicy umeblowanie wartujące 9,000 rubli, teraz gdy mamy tak doskonałe wyroby stolarskie i tapicerskie w naszem mieście?

Osądźcie go panie, jak na to zasługuje.

Przypuszczamy, że w nietrwałości importowanych mebli znajdzie dla siebie karę, która go nauczy, że nie wszystko co obce i zagraniczne najlepszem bywa.

*** **Śmiech dla łez.** Filantropijna jednodniówka wyszła nareszcie po długiej zwłoce i prezentuje się dość pokaźnie jak na obecne smutne czasy, gdy o humor tak trudno. Ołówek Kraszewskiego, Andriollego, Kostrzewskiego, Wyczołkowskiego i Żmurki illustruje ją wybornie, a w dziale literackim oprócz humorystów „Kolcowych" występują niektóre zaszczytnie znane nazwiska.

List Pląskowskiego jest znakomity, a monolog Kotarbińskiego: „Od mojego grajka", wybitnie się odznacza.

Krótko mówiąc, sympatyczne wydawnictwo przedstawia się wcale poważnie, posiada treść dosyć urozmaiconą, a szlachetny cel w jakim zostało podjęte, powinien zachęcić ogół do wykupienia jak największej liczby egzemplarzy.

Nieszczęśliwi pogorzelcy zawsze jeszcze wsparcia potrzebują, niedolę tych ludzi powiększy zbliżająca się zima; każdy więc grosz drogim jest nabytkiem; składajmy je z ochotą, w Imię Boże!...

Jednodniówka „na pogorzelców" rozeszła się szeroko, rezultat pracy odpowiedział oczekiwaniom, niech więc i ta druga ofiara ludzi umiejących odczuwać cierpienia bliźniego nie pójdzie na marne.

*** **Pisma prowincyonalne** chorujące na anemię popadają w nią z własnej winy, czego dowodem „Gazeta Łomżyńska" obecnie już nieboszczka i „Lubelska" nie przynosząca miastu i okolicy tych korzyści jakich od gazety wymagać i spodziewać się można.

Pismo rozumnie prowadzone, jest dzisiaj potrzebą każdego zakątka naszego kraju, ale powinno też zawsze pamiętać o tem, że interesom jej służy, że nie bezmyślnem echem warszawskich dzienników, ale samodzielnym organem być mu sądzono.

Najwymowniejszym dowodem trafnego pojęcia swego przeznaczenia stał się „Dziennik Łódzki”, redagowany znakomicie, walczący na każdym kroku z przeszkodami jakie „niemiecka kolonia” stawia mu na drodze, a jednak zawsze zwycięzki. Trudności jakie już pokonał są olbrzymie, wyrastają też coraz nowe jak grzyby po deszczu; lecz wszystkie razem wzięte potęgują tylko energię kierowników dzielnego organu, zamiast ją osłabić.

Obecnie oprócz artykułów bieżących, z których każdy zawiera zacną myśl przewodnią i pełen jest użytecznej treści, dziennik drukuje monografią okolicznych miast i miasteczek.

Pomysł to wyborny, winszujemy go redakcyi, „chorującym” gazetkom zalecamy do naśladowania. Zamiast lepić wiadomości z tego co już napisane, szukajcie ich u źródła, będą może mniej sensacyjne, ale własne.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Kongres archeologiczny** wraz z wystawą odbył się we Lwowie dnia 9 bieżącego miesiąca. Mowę powitalną wygłosił członek rady, konserwator zabytków starożytnych hr. Dzieduszycki.

Pouczającym był świetnie reprezentowany dział broni starodawnej, jak również działy ozdób kościelnych i malowideł, oraz portretów historycznych.

Zbiór okazów z czasów przedhistorycznych zgromadzony obficie, zawierał przedmioty wyjątkowo ważne i dobrze zachowane. Wykopaliska halickie świadczące o stanie kultury w XII-ym i XIII-ym stuleciu, zaliczone są do osobnego działu. Starodawne rękopismy i księgi, budziły powszechne zainteresowanie. I słusznie, dziś w epoce gorączkowej, pośpiesznej pracy, nemały podziw sprawia olbrzymia, poważna księga, nad którą niegdyś człowiek tracił życie. Tyle dzisiaj różnych książek przybywa, są pomiędzy niemi gorsze i lepsze, ale na owoc tak długiej, mrówczej pracy nie stać nas już obecnie.

Następnego dnia po otwarciu wystawy odbyła się wycieczka do Bohorodczan, gdzie w cerkwi miejscowej znajduje się najpiękniejszy ikonostas galicyjski.

Prezesem kongresu obrano D-ra Majera.

*** **Ostrożność nie zawadzi.** Faktem jest, że każda z pań wracających z zagranicy, przewozi z przyjemnością choćby najmniejszą kontrabandę.

Ile przytem czeka ją niepokoju i trwogi, o tem kroniki pisaćby można; przebywszy jednak to wszystko, za następną bytnością znowu powtarza eksperyment przykry i niebezpieczny.

Zbytecznem byłoby dodawać, o ile tego rodzaju postępowanie uwłacza godności osobistej, wiemy to dobrze, a jednak wobec pokusy ostać się trudno.

Zaznaczamy tylko, w formie przestrogi, że jakiś dowcipny niemiec zaproponował swemu rządowi ważenie kobiet przebywających granicę, co najskuteczniej ma zapobiedz uciążliwym oględzinom i kontrabandzie.

Czy nowy ten środek odpowie oczekiwaniom, przyszłość nam dowiedzie, ministeryum wzięło go pod rozwagę, a my ostrzegamy...

Zawszeć to nieładnie!

*** **Przyjaciel Mickiewicza i Odyńca**, sędziwy Domejko, przybył do Lwowa, gdzie marszałek kraju Zyblikiewicz przyjmował go wystawnym obiadem. Wśród dobranego grona współbiesiadników znajdowali się dwaj arcybiskupi: Morawski i Isakowicz; Smolka, rektorowie uniwersytetu i politechniki, ks. Kalinka, ks. Semeneńko oraz kilkanaście innych wybitniejszych osób.

Przy toaście wzniesionym na cześć dostojnego gościa, pan marszałek w wymownych słowach podniósł jego zasługi naukowe, głośne na obydwóch półkulach. Potem przybyły deputacye z miasta i towarzystw naukowych.

W kilku przemowach, wiceprezes Koła zabrał głos w krótkich lecz głęboko odczutych i świetnie wypowiedzianych frazesach, w imieniu literackiej drużyny, która „na wieść o przybyciu Domejki do Lwowa, zapragnęła złożyć mu hołd należny, pomna, że jej obowiązkiem jest uczcić w nim nietylko jednego z najserdeczniejszych druhów Mickiewicza, ale zarazem zasłużonego pracownika na polu nauki i literatury.

Głęboko wzruszony starzec, dziękował całem sercem za te życzliwe objawy ze strony rodaków. „Wierzcie mi, mówił, że każdy dziesiątek lat przeżyty na obczyźnie, nie oddalał mnie od ziomków, ale raczej do nich przybliżał.”

Potem powiedział między innemi: „Poezya wcale nie jest nieprzyjaciołką nauki, owszem stanowi jej najpiękniejszą okrasę; gdy składając w Wilnie egzamin na magistra, broniłem pewnej tezy matematycznej, w jednej kieszeni fraka miałem Getego, w drugiej pieśni Osjana.”

*** **Po niewczasie.** Niemieckie pisma ganią zbiorowe wydalenia z Poznańskiego i z Prus zachodnich, jako krok „urągający prawu gościnności międzynarodowej i podkopujący podstawy stosunków pomiędzy zaprzyjaźnionemi mocarstwami.”

Co do nas czyn ten nazywamy barbarzyństwem, bo takiem jest on w rzeczy samej. Uwagi dzienników niemieckich nic już nie pomogą, chociażby w najostrzejszej formie je wypowiadano, dowcipnym jest za to postępek grona obywateli lwowskich, którzy postanowili zaprzestać prenumeraty belletrystycznych pism niemieckich.

Numera najnowsze otrzymane świeżo z Berlina odesłali napowrót z kartą korespondencyjną, w której oświadczają, że pieniądze abonentowe muszą ofiarować dla ziomków wypędzonych z księztwa.

Ciekawa rzecz, czy niemcy przyznają słuszność tej ofiary, która odezwie się na kieszeniach wydawców?

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Władysławowi Burza. Wiersze nie mogą być drukowane.

Pani C. w K. Najsumienniej polecić możemy „Przyjaciela Dzieci”, który niezmiernie zbawiennie wpływa na swoich czytelników i nietylko poprawia pod względem moralnym, ale zachęca do czytania i obudza pilność w nauce. Radzimy zaprowadzić czytanie głośne „Przyjaciela Dzieci”, jak to w wielu miejscach jest praktykowane, a jesteśmy pewni, że przy cierpliwości, pomału, dzieci chętnemi staną się słuchaczami i sami się o nie dopominać będą.

Józefowi Prokocimerowi w Bendzinie. Rozwiązanie choć niełatwe, ale bardzo dobre.

OD REDAKCYI.

☞ **Tom ósmy pism Alberta Wilczyńskiego, za miesiąc Sierpień już wyszedł i obejmuje:**

Dziecię niedoli i dziecię próżności.

Opowiadanie.

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na premium nadzwyczajne dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*

za tom kop. 60; za tomów 12 rs. 7 k. 20

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom kop. 70; za tomów 12 rs. 8 k. 40

Dla nieprenumerujących „Tygodnika Mód i Powieści“ *w Warszawie:*

za tom rs. 1 k. 20; za tomów 12 rs. 14 k. 40

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:

za tom rs. 1 k. 30; za tomów 12 rs. 15 k. 60

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

ZAWIADOMIENIA.

Mapa poglądowa Królestwa Polskiego, ułożona przez panią Jadwigę z Zakrzewskich Wojcicką, przedstawia sposobem poglądowym całe Królestwo Polskie, pod względem etnograficznym, historycznym, rolnym, leśnym, górniczym, przemysłowym, komunikacyjnym, pod względem hodowli zwierząt domowych, gospodarstwa rybnego, sieci kolei żelaznych, ważniejszych dróg bitych i hydrografii, z oznaczeniem punktu spławności rzek w granicach Królestwa znajdujących się. Cena jej w oprawie do zawieszenia na ścianie, wynosi rs. 15.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Сентября 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).

Dodatek.

Opis do N-ru 38.

(*Dokończenie.*)

N. 8–15. Koronki robione na klockach.



N. 1. Koronka haftowana na tiulu. Patrz ryc. 35.



N. 2. Sukienka z długim stanikiem.



N. 3. Sukieneczka z kaftaniczkiem.

Podajemy kilka wzorów koronek, które odpowiednio do czego są przeznaczone, można robić z nici złotej, srebrnej, białej lub kolorowej (D. M. C. N. 50); napięcie deseniu dajemy na oddzielnych rycinach.

N. 16. Podstawka do zegarka. Mozajka leśna.

Potrzeba najpierw przygotować kawałek tekturki w formie wskazanej na ryc. 16, a wielkości stosownej do zegarka damskiego lub męzkiego. Środek pokrywa się aksamitem kolorowym, brzegi otacza mozajka z nasion i szyszek leśnych. Ten rodzaj roboty znany już od lat kilku czytelniczkom Tygodnika Mód, nie będziemy więc powtarzać szczegółów, dodamy tylko, że skończoną mozajkę trzeba dla trwałości pociągnąć bezbarwnym lakierem.



N. 4. Suknia z długą tuniką. Patrz r. 19 w N. 37. N. 5. Sukienka z vêtement dla panienki lat 12–14. Patrz ryc. 22 i 25.

N. 17. Suknia z plisowaną spódnicą. Krój stanika podług ryc. 42 w N. 22.

Uszyta z zefiru w pasy szersze i węższe koloru ponsowego i niebieskiego; spódnica plisowana wokoło, zamiast draperyi ma przypiętą szarfę, złożoną z końców 38 cent. szerokich, 89 długich i z pukli 55 cent. długich. Stanik dopasowany podług powyżej wskazanego kroju, obcięty jest paskiem 5 cent. szerokim.

N. 18 i 19. Poduszeczka na toaletę. Haft złotem.

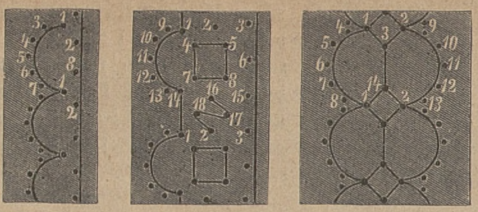
Podstawę poduszeczki stanowi pudełeczko tekturowe okrągłe, wypchane włosiem i obszyte w szare płótno; zwierzchnie pokrycie stanowi robota drutowa z kolorowej włóczki, w którą można z łatwością wpinać szpilki podwójne, na niej widzimy przytwierdzoną maleńką poduszeczkę do igieł i szpilek, uszytą z kolorowego atłasu, ozdobioną haftem złotym, do którego deseń przedstawia ryc. 19. Kontury i wąsy wyszyte złotym sznureczkiem, muszki i środek liści haftowane nitką złotą. Boki poduszki pokryte podwójną bufą atłasową, przedzieloną szlaczkiem haftowanym na oddzielnym pasku, oszytym koroneczką.



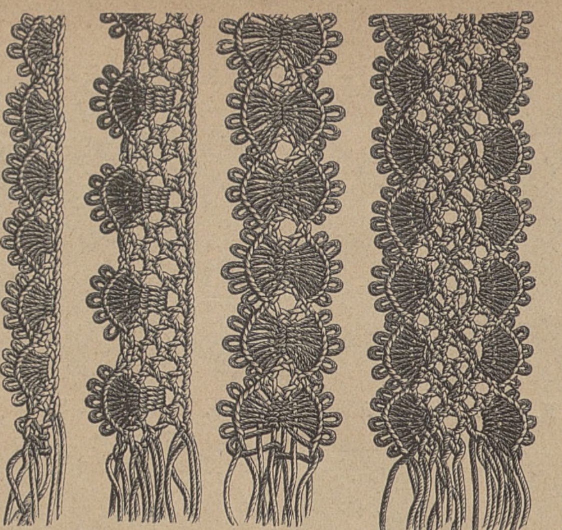
N. 6. Stanik garnirowany koronką.



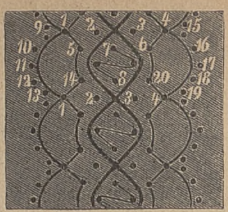
N. 7. Stanik z baskiną wyciętą w patki.



N. 8—10. Deseń i rozliczenie klocków do koronki ryc. 12—14.



N. 12—15. Koroneczki i wszywki robione ręcznie na klockach. Patrz ryc. 8 do 11.



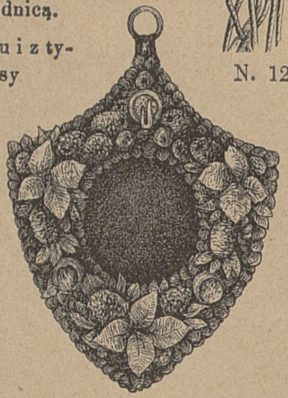
N. 11. Napięcie deseniu do ryc. 15.

N. 21. Kapotka koronkowa. Patrz ryc. 10 w N. 37.

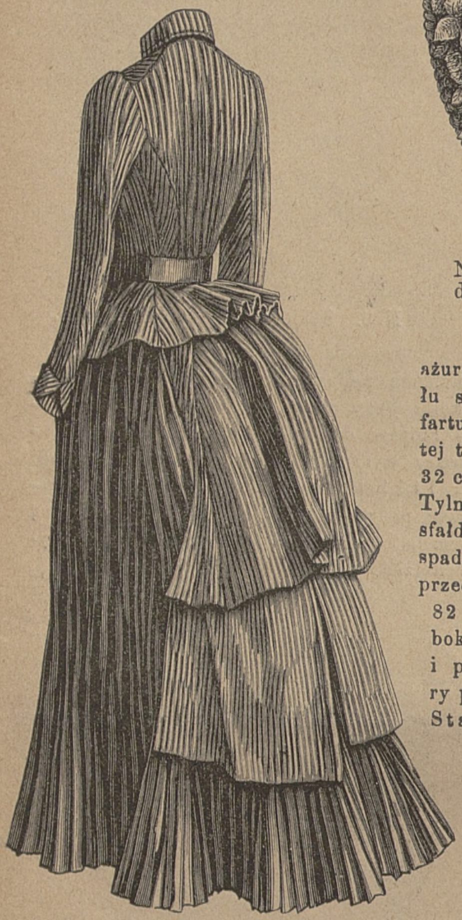
Pokryta jest tiulem koronkowym koloru crême; rondko odstające od dołu, pokryte marszczonym ponsowym aksamitem; na wierzchu rondka przypięty bukiet róż, traw i liści; do wiązania pod brodą dane szerokie bryty koronkowe.

N. 27 i 37. Suknia z fałdowaną spódnicą.

Ryciny 27 i 37 przedstawiają z przodu i z tyłu suknię z etaminy, przerabianej w pasy



N. 16. Podkładka do zegarka. Mozajka leśna.



N. 17. Suknia z plisowaną spódnicą.

ażurowe, które u dołu spódnicy i przy fartuszkowo podpiętej tunice liczą po 32 cent. szerokości. Tylne bryty ściśle sfałdowane w górze spadają gładko, przedni bryt tuniki 82 cent. długi, z boków fałduje się i podpina do góry podług ryc. 37. Stanik z krótką baskiną, przybrany wązkiemi szlakami; przy stojącym kołnierzyku i rękawach kokardy z kolorowej wstążki.



N. 18. Poduszeczka na toaletę. Haft złotem, patrz ryc. 19.



N. 19. Haft złotem, do ryc. 18.

N. 29. Kołnierz i żabot z haftem złotym.

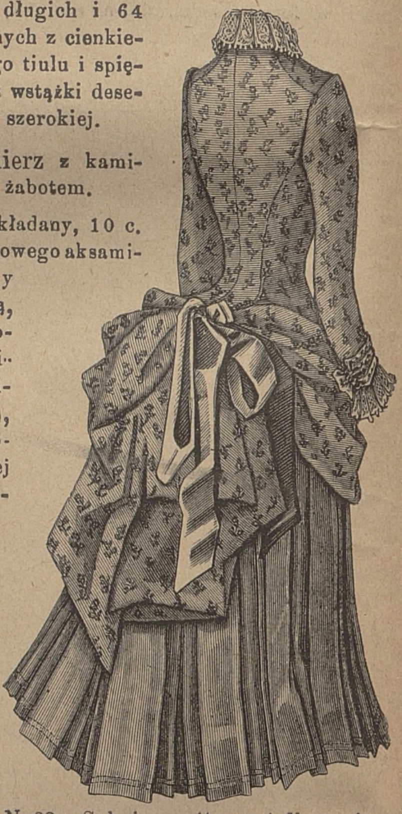
Pasek otaczający szyję liczy 5 cent. szerokości a 33 długości, wycięty z kanwy de congrès i ku przodowi ma dodane oddzielne kawałki kanwy 20 cent. szerokie, z jednego brzegu po 17, z drugiego po 10 c. długie. Szeroki szlak haftowany złotem, przykrywa pasek i otacza brzegi przednich części, sfałdowanych podług ryc. 29. Żabot układa się z przymarszczonych końców po 24 cent. długich i 64 szerokich, danych z cienkiego haftowanego tiulu i spiętych kokardą z wstążki deseniowej, 3 cent. szerokiej.



N. 21. Kapotka koronkowa. Patrz ryc. 10 w N. 37.

N. 30. Kołnierz z kamizelkowym żabotem.

Kołnierz wykładany, 10 c. szeroki, z ponsowego aksamitu, podszyty białą materyą, ma z przodu dodaną część kamizelkową aksamitną, 18 cent. długą, w górze 12 cent. szeroką, do dołu szpiczasto zwężoną, oszytą wokoło koronką 9 cent. szeroką. Kokardka z atłasowej wstążki, 3 cent. szerokiej. Przyozdobienie stanowi wązki złoty sutasz naszyty rzędami.



N. 22. Suknia z vêtement dla panienki lat 12—14. Patrz ryc. 5 i 25.

N. 31—34. Kapelusze dla dzieci.

N. 31. Kapelusz okrągły z wysoką główką.

Fasonik z żółtawej słomki z główką 18 cent. wysoką, ma rondko z przodu 6, z tyłu 4 cent. szerokie, podszyte fałdowaną materyą. Duży bukiet polnych kwiatów podłożony puklami z wstążki ottoman.

N. 32. Kapelusik z wygiętem rondkiem.

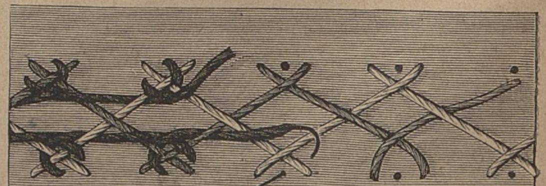
Pleciony z cieniutkiej jasno popielatej słomki, ma rondko 7 cent. szerokie, nad czołem w ząb wygięte, podszyte różowym atłasem. Zwierzchnie przybranie stanowi popielata koronka i różowa deseniowa wstążka; z boku kitka popielatych piórek.

N. 36. Suknia z podwiniętą draperyą. Patrz ryc. 20 w N. 37.

Spódnica z ciemno wiśniowej satynki, zaplisowana w szerokie fałdy, ma w odstępie 4 cent. od dołu naszytą plisę z deseniowej etaminy, 10 cent. szeroką, otoczoną z brzegów wypustką



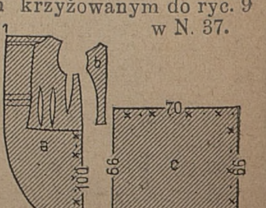
N. 20. Wykonanie mozajki wschodniej, do ryc. 18 w N. 37.



N. 23. Wyszycie ściegiem krzyżowanym do ryc. 9 w N. 37.



N. 24. Wyszycie ściegiem podwójnie krzyżowanym do r. 9 w N. 37.

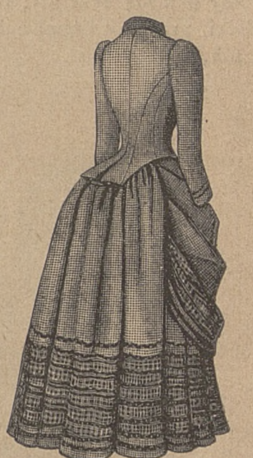


N. 25. Wskazanie kroju vêtement do ryc. 5 i 22.

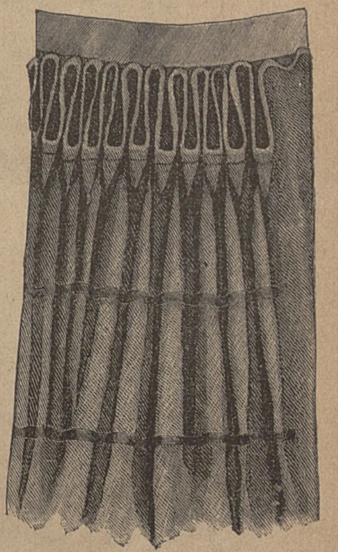


N. 26. Deseń aplikacyi do story ryc. 6 w N. 37.

z granatowego aksamitu, 2 cent. szeroką. Stanik bawetowy i draperya również z etaminy deseniowej. Wymiar draperyi daliśmy na ryc. 20 w N. 37; bryt *a* wskazuje połowę krótkiego przedniego upięcia, sfałdowanego zarówno z boków jak u góry i przyszytego wprost na sukni. Górny brzeg tylnego bryta *b*, jest najpierw od 1 do gwiazdki złączony z bocznym brzegiem przodu, poczem pozostałą szerokość fałduje się i przyszywa do dolnego brzegu stanika. Nakoniec bryt składa się podług linii kropkowanej pasując dwukropkiem do dwukropka, podwija do góry, a 93 cent. długi brzeg boczny, podług linijki cienkiej prostej; marszczy się na 6 cent. szeroką ponsową aksa-



N. 27. Plecy do ryc. 37.



N. 28. Lewa strona fałd ułożonych z tylnego bryta, do ryc. 8 w N. 37.

mitkę i równie szeroką granatową wstążkę, zostawiając nagłówek przyszyty na baskinie plecków, podług ryc. 36. Końce wstążki i aksamitki związane są w długą kokardę.

N. 39. Szlak ściegiem krzyżykowym i stębnowanym.

Szlak przedstawiony na ryc. 39 tem się różni od innych, iż ma całe tło zakryte wyszyciem, a deseń stanowią pozostawione podług rysunku miejsca puste.

Przepisy gospodarskie.

Pieczarki marynowane.

Nazbierać pieczarek małych, zamkniętych jeszcze, skórkę z nich flanelą zupełnie zetrzeć, potem cienkim płatkiem z piasku dobrze oczyścić, korzonki poobcinać do równości z pieczarkami.



N. 29. Kołnierz z żabotem zdobny haftem złotem.

Wziąć rynkę wcale nieużywaną, włożyć w nią pieczarki, wsypać pieprzu, angielskiego ziela, imbiru w kawałki krajanego, goździków, gałki muszkatołowej, wszystkiego w proporcyi do ilości pieczarek, ale nie przesadzać korzeniami, bo straciłyby smak właściwy. Tak przyprawione postawić na węglach; gdy z siebie sok puszczą, często je strząsać i tak długo następnie gotować, aż póki soku, który z siebie puściły, napowrót w siebie nie wciągną. Mieć ocet przygotowany; gdy pieczarki gotowe, ocet gorący wlać na nie i parę razy zagotować. Po dopełnieniu tego wszystkiego przykryć je flanelą aby pod nią wystygły, po wystudzeniu kłaść w słoiki, przykryć liśćmi bobkowemi i zalać octem tak, aby górował.



Kapelusze dla dzieci.

N. 31. Kapelusz okrągły ze szpiczastą główką. N. 32. Kapelusz z rondkiem wygiętem. N. 33. Kapelusz z wysoką główką. N. 34. Kapelusz z szerokiem rondem.

po denku, nalać trochę oliwy a ta broni od pleśni.

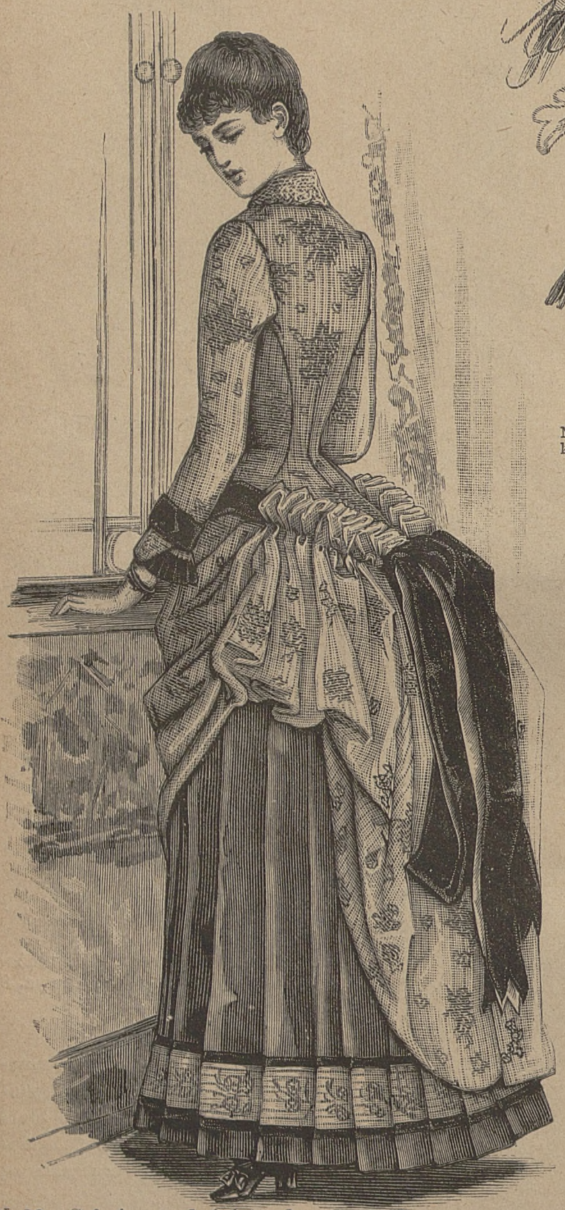
Zachowanie grzybów suszonych od robactwa.

Grzyby najprzód trzeba dobrze osuszyć, potem ściągnąć z nici, dno słoja potrząsnąć suchą solą i kilką ziarnek pieprzu, układać warstwą grzyby, na to potrząsnąć znowu solą i pieprzem, i tak naprzemian, póki się nie ułożą, potem przechować w suchem miejscu. Chcąc ich użyć, zaparzają się najprzód wrzącą wodą, aby nie były zbyt kwaśne. To samo da się zastosować i do innego gatunku suszonych grzybów.

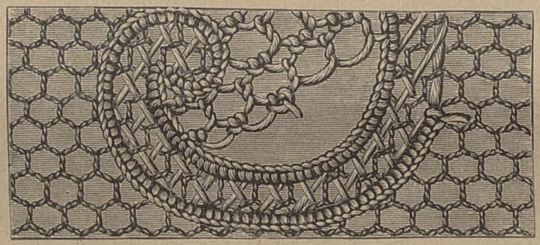
Uwaga. Układając wszelkie grzyby do so-



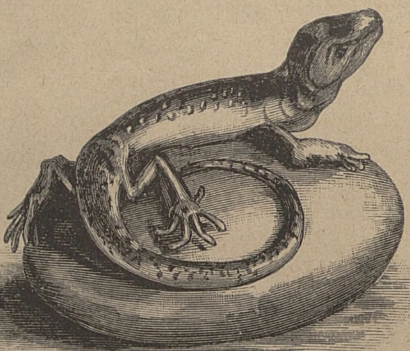
N. 30. Kołnierz z żabotem kamizelkowym.



N. 36. Suknia z podwiniętą draperyą. Patrz ryc. 20 w N. 37.



N. 35. Wykonanie haftu na koronce ryc. 1.



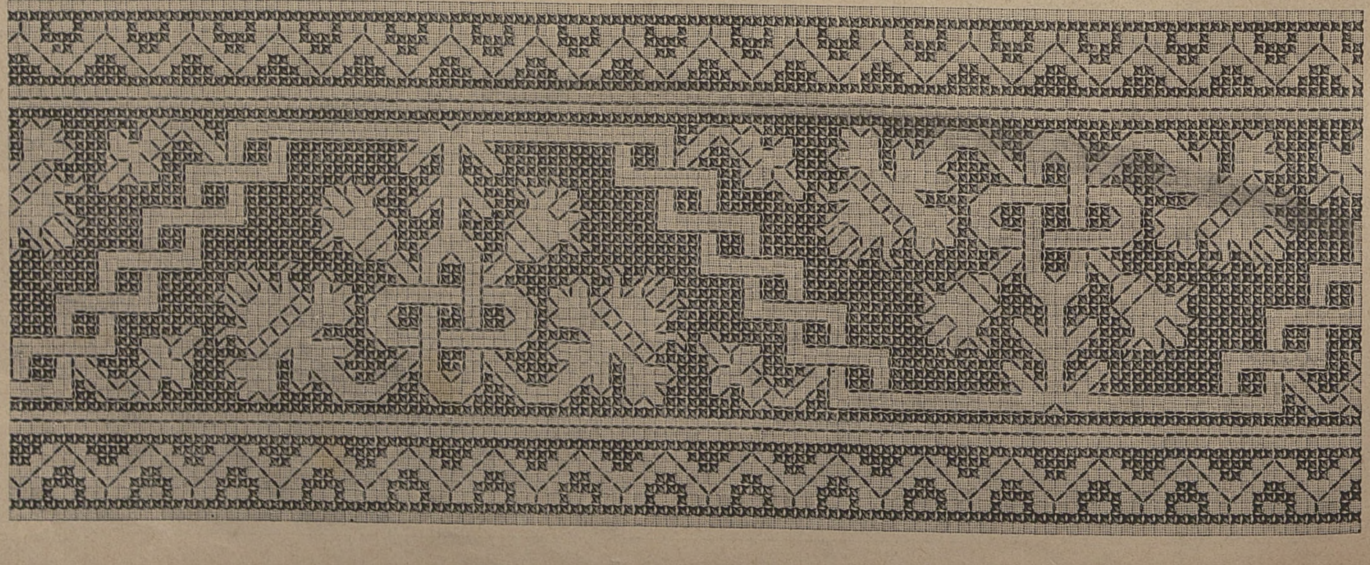
N. 38. Przycisk.



N. 37. Suknia z fałdowaną spódnicą. Patrz ryc. 27.

Pieczarki solone.

Jeśli są większe, to je poprzekrawać, mniejsze zaś całe: obciągnąwszy wprzód ze skórki, solić jak rydze, przesypując cebulą siekaną i pieprzem. statek, w jakim się układają dopełnić, przykryć denkiem i kamieniem przyłożyć; wierzch obwiązać pęcherzem i trzymać w chłodnem a suchem miejscu. Takie pieczarki są wyborne do potraw mięsnych. Można a wierzch, chociaż



N. 39. Szlak wyszyty ściegiem krzyżykowym.

lenia lub marynowania, należy je układać tak, jak rosną. Tym sposobem solą się gąski chrząszcze. Te ostatnie należy poprzednio moczyć przez dwa dni w zimnej wodzie, odmieniając ją codziennie; potem poobrzynać i układać przesypując solą. Używają się tak jak rydze.



Pl. 625.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.